

## Carantouhill - wejście nocne



Pomysł na wejście nocą zrodził się dokładnie rok temu, kiedy to po zaliczeniu całej traski razem z Klapkiem zeszliliśmy na parking, a tam ku naszemu zaskoczeniu przyjechała jakaś ekipa z myślą o starcie.

Oczywiście obieramy razem z Klapkiem postanowienie, że wracamy tutaj za rok i robimy podobny scenariusz.

Rok minął. A więc jedziemy tym razem wspólnie z chłopakami z Arklow: Tomem i Salwachem. Ja z Klapkiem ruszamy z Dublina o ok 21.30. Ekipa z Arklow ma ok godzinny poślizg. Droga do Killarney bardzo przyjemna, na trasie pusto, więc jazda bardzo spokojna. Jedyny minus to taki że Kłapek nie ma w aucie odtwarzacza CD, więc nici ze słuchania muzy takiej, jaką by się chciało. Więc skupiamy się na Radio Nova. Sms-owy kontakt z drugą ekipą. Są trochę czasowo za nami, ale 3.00 na parkingu jest bardzo realna. W końcu mamy duży zapas czasowy.

Ok. Dojeżdżamy do Killarney. Kontakt z baza nr 2 :) są ok. godzinę za nami. Więc nie zastanawiając się długo, parkujemy auto i szukamy pubu gdzie będzie można wbić jeszcze na jednego Guinnessa. Jakby nie patrzeć to tradycja. W Killarney Guinness smakuje jak nigdzie indziej a z racji, że to wypad nocny i po zejściu puby raczej pozamykane, musimy zrobić to teraz :). Pubu oczywiście nie musieliśmy długo szukać. Na wejściu bramkarz informuje nas, że musimy kupić bilety, szybkie spojrzenie na Klapka i prawie bez słów obopólna zgoda. W pubie muza na żywo i oczywiście tłoczno. Załapaliśmy się na koncert kapeli SEDUCERS, na starcie lecą z kawałkiem The Killers, potem grają „Thunderstruck” AC/DC. Naprawdę brzmią dobrze, nawet za dobrze, ale po chwili wszystko jasne, jadą z polpleybacku, nawet słychać jak śpiewa sam Brian Johnson, ale w pubie nikomu to nie przeszkadza, wręcz przeciwnie. Wypijamy po Guinnessie i wracamy do auta, aby chłopaki nie musieli nas szukać po pubach :) . Ale ich jak nie ma tak nie ma. Trochę żałujemy że

nie zostaliśmy dłużej w pubie :) . Zdzwaniamy się z nimi, są już w Killarney ale Salwach nie może sprecyzować w jakim miejscu . Szczęśliwym trafem rozpoznaję jego Honde. Później Tom zdaje relacje że trochę pobłądzili na trasie, ale to wina Salwacha bo zaczął kłócić się z kobieta z GPS-a. No i ta w złości poprowadziła go dziwnymi drogami :) .

Ok. Nieważne. Sa juz wszyscy. Jedziemy na parking , gdzie zaplanowaliśmy zejście. Przepakowujemy się i na jedno auto jedziemy na parking gdzie zaczynamy trasę. Wkładamy wszystkie ciuchy jakie mamy na siebie , plecaki, czołówki włączone – START – godz 4.00. Po chwili Salwach oznajmia ze z auta zapomniał nawigacji. Ale może i lepiej bo jakby znowu zaczął się kłócić to byłoby nieciekawie. Kłapek ma zapasowy . jest Ok :) .

Początkowy szlak odnajdujemy bez problemu. Pogoda jest wprost idealna. Zero wiatru, zero mgły, temp minusowa ale w końcu to styczeń. Droga prowadząca na szczyt to prawdziwa autostrada. Trochę zmęczeni podróżą, trochę śpiący idziemy w ciszy, tylko niekiedy pytając – Jak się idzie? Po kilkunastu minutach każdemu jest za gorąco. Robimy postój i zdejmujemy po jednej warstwie. Po chwili dochodzimy do rzeczki Gaddagh, na której ustawione są potężne głazy wiec z przeprawa nie ma problemów. Trochę się dziwię że tak szybko przy niej jesteśmy, ale może zmieniła koryto J próbuję sobie to w jakiś sposób wytłumaczyć. Wbijamy na utwardzona drogę i dochodzimy do czarnej plamy. Czyżby już jezioro. Kurcze trochę za szybko. Tom wpada na pomysł - Weź kamień i rzuć! Zobaczymy. Wybieram kamień taki co bym mógł nim trochę machnąć , ok leci , jest plum, to jezioro J. Trochę śmiejmy się z sytuacji ale sposób był bardzo dobry. Mamy nawet całkiem dobre tempo. Korygujemy położenie z mapką. Wszystko przebiega zgodnie z planem, jesteśmy między jeziorami Callee i Gouragh. Tylko za blisko trzymaliśmy się lewego i zeszliśmy ze szlaku. Odbijamy na prawo, po czym odnajdujemy właściwy szlak prowadzący pod Devil's Ladder. Aby się upewnić co jakiś czas gasimy czołówki, w celu skorygowania naszego położenia. Pomimo ciemności widoczny jest zarys przełęczy gdzie przecinają się Cnoc na Toinne i Carantouhill.

Pod drabiną jesteśmy o 5.30. Czas jak najbardziej dobry, wiec robimy przerwę na odpoczynek, uzupełnienie płynów bądź inne takie tam J. Tom wyciąga termos z miodzikiem. To było konieczne, znaczy się coś gorącego.

Krotki reset i dajemy na drabinę. Tom prowadzi, potem Salwach, ja z Kłapkiem zamykamy tyły. Osławiona zła sławą drabina to po prostu stromy żleb wypełniony luźnymi głazami, ale nas przywitała świetnymi warunkami. Zero śniegu, wszystko suche wokół. Minusowa temperatura związała nawet drobne kamyki, wiec nawet rzadko kiedy cos się osunęło, nie mówić już o braku ciekącej wody, która latem daje się trochę we znaki. Tylko gdzieniegdzie zamrznięta woda była zdradliwa, ale było jej tak mało ze z łatwością można było ominąć takie mini pułapki. Wyciągam z plecaka czekan, co bym mógł się nim trochę pobawić. Wyszukuje zamrzniętych kęp traw i wyciągam się na nich. Oczywiście bardzo często trafiam w kamień, ale zabawa była dobra J. Tom wpada na pomysł, że będzie kręcił jak wchodzimy. Prosimy go tylko, aby zrobił to raz, bo dublerów na bank nie będzie. Koniec kręcenia. Tom na przód i jedziemy dalej. Po jakimś czasie zauważam ze podłoże drabiny zmienia się w kamienisty piasek, co oznacza koniec podejścia. Sprawdzamy czas , jest Ok 6.00.

Na przełęczy wiatr daje się we znaki, jest zdecydowanie mroźniej. Wokoło wszystko pokryte lekkim szronem. Kilka fotek i przygotowujemy się do ataku szczytowego J. Chłopaki pytają którądy teraz. A ja ze szczyt po prawej, więc cały czas do góry. Uzgadniam z Klapkiem że nie ma sensu szukać szlaku w ciemności. Robimy tak jak zawsze, czyli jak stoimy tak wychodzimy do góry, a tam na pewno jest krzyż. Dla pewności proszę go, aby odpalił nawigację, ale zanim odszukał pozycję, Tom oznajmił, że jest na ścieżce. Od tej pory nie martwimy się już szlakiem, zostaje tylko piąć się do góry. Przyjmujemy tylko taktykę, że robimy to bardzo wolno, aby nie czekać na szczycie za długo na wschód słońca. Chłopaki z Arklow wrywają do przodu, ja z Klapkiem zostajemy trochę z tyłu. Kłapek narzeka trochę na swoją kondycję i że nie posłuchał swojej kobiety Dorotki, która radziła mu, aby potrenował trochę przed wyjazdem ćwicząc na schodach w domu wchodzenie i schodzenie. Ale on jest twardy i robi to jak sam powiedział „tylko troszkę wolniej” J.



W międzyczasie pojawiła się mgła, która zakryła czyste gwiazdziste niebo. Pomyślałem sobie, no proszę zaczyna się, znowu jak będę na szczycie nic nie będzie widać. No i przyznając się, sam już odczuwam zmęczenie. Zastanawiam się wtedy jak musza czuć się ludziska, którzy zdobywają Mont Everest, kiedy oprócz niesamowitego zmęczenia, kilkudziesięciu minusowej temperatury, która wzmaga wiatr dochodzi jeszcze walka z oddechem i brakiem dostatecznej ilości tlenu, kiedy każdy krok do przodu to czas bliski micie. To takie lekkie odejście od tematu, gdyż jestem w trakcie lektury Johna Krakauera „Wszystko za Everest”. Ale my wchodzimy na Carantouhill więc takich problemów nie mamy. Oglądam się czy Kłapek daje rady, a on już obok mnie i oznajmia że pomału już świta, widoczność jest już lepsza, ale czołówek jeszcze nie wyłączamy. Mija kilkanaście minut, kiedy zauważamy kamienny schron a po chwili oszroniony krzyż. Carantouhill zaliczany do Korony Europy na pozycji 30 – zdobyty. Jest godz. 7.00.

Nad Killarney pomału wstaje słońce, ale jak narazie to tylko pas poświaty. Wyciągamy z plecaków resztki ciuchów, wkładamy, co się da i zaczynamy jeść zmrożone kanapki. Salwach proponuje swoją Ice Tea, a Tom dalej ma gorący miódzik J. W schronie za długo nie wytrzymujemy, jest potwornie zimno. Tylko Tom wcisnął się w śpiwór i siedział cicho jak mysz, niekiedy tylko cicho proponował udostępnienie swego lokum, ale tak, aby nikt za bardzo go nie słyszał, o co pyta J.

Czekamy dalej na wschód słońca. Jest naprawdę mroźnie, ale i tak jest ok, wiatr wzmacnia minusowa temp a my kombinujemy, co by tu zrobić, aby się rozgrzać. Salwach poszedł zrobić zwiad jak z zejściem. Kłapek robi fotki, nawet Tom wysunął się ze swego kokona i zaczął kręcić i focic. A jest, co. Opływająca w dolnych partiach mgła przyjęła cudowna cyrkulację. Płyne po obu stronach i gdzieś w okolicach drabiny przecina się. Piękne falujące mgliste morze, odsłania okoliczne szczyty. Kurcze pierwszy raz czyje się ze jestem na dachu Irlandii. Ale słońca jak nie ma tak nie ma. W głowie ciągle chodzi mi kawałek Mad Season - „Long Gone Day”, gdzie sp. Layne Staley w ostatnich słowach śpiewa - ... And shout to God to bring my sunny day!!!!. W końcu mogłoby już wzejść, zrobienie zdjęcia zaczyna być problemem, bo muszę ściągnąć rękawiczki. A wiem że jak ściągnę to znowu będę musiał klaskać przez 15 min. Ale daje rady. Nawet nie mówię chłopakom że może darujemy sobie ten wschód i zaczniemy schodzić. Nie odważyłem się jednak, wiedząc że przecież taki był cel. Tom już ma dość filmowania, daje mi kamerkę i karze mi kręcić jak będzie wschód. Ja z bólem na twarzy - O fuck, stary, czemu ja, wiedząc że będę musiał zdjąć rękawiczki. Teraz to już chyba wszyscy skaczą. Aż w końcu ktoś krzyczy - Ej słońce wstaje. Jest!!!!. I bardzo dobrze myślę, nareszcie. Sprawdzam czas, jest 8.30. Każdy w lekkim szoku, kurcze byliśmy tutaj półtorej godziny!!!. Ale normalnie warto było. Przy wschodzie słońca ukazały się nowe kolory, mgła zaczęła bardziej opadać. Widoczność wprost niesamowita. Zachwycamy się z Kłapką że byliśmy tutaj już trzykrotnie, ale nigdy jeszcze takich wrażeń nie zaznaliśmy. Zawsze tylko mgła, jedynie raz udało nam się trafić na lepsze widoki, ale trwało to zaledwie kilkanaście minut. A teraz mogliśmy się rozkoszować wręcz do bólu. Mam nadzieję że, choć trochę uda nam się przekazać tego zachwytu na fotkach Toma i Kłapka. Aha no i ja zacząłem filmować wschód. Wytrzymałem blisko minutę, gdyż zacząłem trącić kontakt z palcami. Tom oznajmia



ze ok, spadamy w dol.

W międzyczasie jak czekaliśmy na wschód obieraliśmy taktykę na zejście. Trochę obawiając się zejścia na Beenkeragh. Co rusz mgliste pasy okrywają grań, nie wróżąc dobrej widoczności w dole. Zgodnie przyjmujemy że schodzimy do drabiny, potem lekkie podejście pod sąsiedni szczyt i szukamy zygzaka. Pakujemy plecaki i zaczynamy schodzenie. Cały czas rozkoszując się pięknymi widokami. Nawet mgła zaczęła ustępować, i trochę żalujemy że nie obraliśmy kursu na Beenkeragh.

Zygzaka nie znaleźliśmy, więc zrobiliśmy własnego. Podeszliśmy tylko do najmniej stromego zejścia i w dół. Podczas schodzenia, zrobiłem test moich raków, wyszukując bardziej stromych odcinków gdzie mógłbym użyć ich razem z czekanem J. Będąc już między jeziorkami, dalej widzimy krzyż na szczycie, takiego widoku chyba tam za często nie ma, a my właśnie trafiliśmy na taki poranek J. Normalnie szczęściarze. Chłopaki robią ostateczne foty i mykamy na parking. Szlak pomału zaludnia się. Coraz to nowe grupki mijają nas, oni też są tymi szczęściarzami J. Ale my już mamy inny cel. Jak najszybciej do auta. Cel osiągnięty, jesteśmy na parkingu, godz. 11.15. Rozleniwiamy się w słońcu, pogoda wspaniała. Ale komu w drogę temu coś tam coś tam. Wsiadamy i jedziemy do miejsca gdzie zostawiliśmy Hondę. Tam jeszcze podziękowanie za wspólny zajebisty czas. Umawiam się z Salwchem na ściankę na UCD, co by zakwasy rozruszać jak najszybciej, przechwycam jeszcze listopadowy numer magazynu „Góry” z Hondy i wracamy do domków J. W drodze powrotnej w rozmowie z Klapkiem podsumowując wypad, przyznajemy sobie rację że było ZAJEBISCIE. Ale ja następnym razem jak będę tam wchodził to zrobię to na bosą, tak jak na Croagh Patrick J.. Będę prekursorem normalnie takiej naszej nowej świeckiej tradycji. Howgh.